XVI. Kraków, 1 marca 1913. Nr. 5.



„BOCIAN“

Wychodzi 1-go i 15-go każdego miesiąca.

Kwartalnie: z przesyłką pocztową 2 kor., 2 marki 25 fen., 1 rbs. 25 kop.

ADRES REDAKCYI I ADMINISTRACYI:
KRAKÓW XV., ul. Kazimierza W. 83 (dom własny). **Telefon Nr. 479**

W Królestwie Polskiem i Cesarstwie Rosyjskiem:
Biuro G. Ungra, Warszawa, Aleje Jerozolimskie 78.

Wyłączne zastępstwo i główny skład na Lwów w biurze K. BUCHSTABA, ul. Karola Ludwika 21.

– **Sądzę jednak, że wypada, byś mi kupił złoty zegarek! Mogłabym się spóźnić na jutrzejsze rendez-vous, a wiem, że tego nie lubisz!**



Szczyt reklamy.

Kupujcie nasz znakomity środek na porost włosów! Działa po prostu cuda!... Najstarsza łysina pokrywa się w krótkim czasie bujnym porostem!... Zupełnie bezpłatnie dodaje się nożyce ogrodnicze.

Między malarzami.

— Co przedstawia twój najnowszy obraz?
— Jeszcze nie wiem! Nie czytałem sprawozdania z wystawy!

Podczas oświadczyn.

— Bardzo mi żal, ale, spóźnił się pan nieco! Właśnie przed chwilą przysięgłam panu Karolowi dozgonną wierność.
— O... W takim razie ja poczekam!

Wątpliwość.

Po Sylwestrze — Fiuta z Psiutą
(Bo sekretów nie ma przed nią) —
Spotkała się, by omówić,
Jak spędziła noc poprzednią.

Ach! co do mnie — mówi Fiuta
Ja — bawiłam się wspaniale
I noc ową zapamiętam
W tegorocznym karnawale!

Szampan leje się strumieniem,
Goście wrzeszczą, gra orkiestra...
— Ja — przerwała smutno Psiuta
Ja — przespałam noc Sylwestra!

I dodała z większym smutkiem:
„A tem bardziej mi nie miło,
Że, dali Bóg, nie wiem nawet,
Moja Fiuto! — gdzie to było!...“

Chat-Noir.

Z prawd życiowych.

Niejedna panienka podobną jest do jabłka. Upada, gdy dojrzeje.

Małżeństwo jest koniecznie potrzebne już choćby tylko z tego powodu, że bez niego nie byłoby rozwodu.

Często gniewa niejednego właśnie wierność kochanki.

Autentyczne zdarzenie.

— Czuję się, jakby na nowo urodzony! — rzekł do siebie z filozoficznym spokojem noworodek, gdy go *madame* wyjęła z pierwszej kąpieli...

Z naszego ghetta.

Pana Taubelesa zapytano raz w towarzystwie, dlaczego on ubiera się tak skromnie, gdy przeciwnie małżonka jego znaną jest w całem mieście z przepychu swych tualet.

— Bo ona — odparł poważnie — ubiera się według żurnalu, a ja według mej księgi kasowej!

Ulegając namowom swej rodziny, z której już większa część przyjęła wiarę chrześcijańską, postanowił pan Kohn zerwać z wiarą przodków i przyjął protestantyzm.

Gdy go pytano, dlaczego nie został katolikiem, skoro to jest panująca w kraju religia, więcej więc odnieść może korzyści, odpowiedział:

— Ja wam coś powiem!... Między katolikami jest już za wielu żydów!

Praktyczna.

— Dlaczegóż pan nie poradzi się własnej żony, o ile mi się zdaje, to ukończyła ona wydział lekarski?
— Tak jest, panie doktorze! Ma nawet dyplom doktorski!
— No... Chyba więc pomogłaby panu na ten lekki katar!
— Nie rozumiem!
— O... nie! Toby mnie zawiele kosztowało!
— Tak, panie doktorze! Niedawno zapadłem lekko na zdrowiu i pozwoliłem się jej zbadać... I wie pan, co mi zaordynowała? Kazała mi wyjechać na sześć tygodni na Riwierę, ale też i sama zabrała się ze mną!...

Sans gêne.

U swej małej przyjaciółki
Radca raz na miesiąc bywa,
Bo pan radca — raz na miesiąc
Lubi... co to się nazywa!

Chodzi do niej. Tem nie krzywdzi
Ani żony, ni swych dzieci,
Co pierwszego do niej chodzi,
Akuratnie punkt o trzeciej.

Wchodzi. Lola zmyka z krzykiem
Do drugiego pokoiku,
— Jeszcze może mnie kto spostrzedz!
Mówi radca — nie rób krzyku!

Na serdeczną tę zachętę
Lola wraca: Ach! filutka!
Naga szyjka i ramiona
I spódniczka na niej krótka

— Ach! przepraszam — mówi Lola
I na ziemię spuszcza oczka —
Że przyjmuję w tym negliżu,
Że nie wdziałam choć szlafroczka!

— Głupstwo — radca rzekł łaskawie
(Wzięcię bowiem ma przyjemne)
I ja w biurze, przy robocie,
Wolę, kiedy surdut zdejmę!...

Chat-Noir.



W nieswojej roli.

(Obrazek z życia codziennego).

Pan Władysław, doktor obojga prawa i wzięty adwokat, stał w swem kawalerskiem mieszkaniu przed otwartą szafą z rzeczami i troskliwie przeglądał sztukę za sztuką.

Czeluść jej czarną była jak noc, zawierała bowiem same czarne ubrania, gdyż bohater nasz w ostatnich czasach stracił dwie ciotki, wuja i oboje rodziców, nie zdejmował więc żałoby, w której, nawiasem mówiąc, bardzo mu było do twarzy, tak przynajmniej utrzymywały mamy, mając córki na wydaniu.

Spoglądały one z czułością na młodego mecenasa, niejedno czułe westchnienie skierowane było pod jego adresem, ogólnie oczekiwano, kiedy minie czas żałoby, szkoda bowiem, by tak uroczy kwiat na kawalerskiej niwie miał się zmarnować, gdy tyle panienek wzdycha do małżeńskiego czepca.

A jeśli kiedy, to właśnie teraz nadchodzi czas odpowiedni, do postarania się o dozgonną towarzyszkę życia, zwłaszcza że pan minister skarbu stanowczo myśli o zaprowadzeniu starokawalerskiego podatku.

Każdy więc praktyczny i oszczędny młodzieniec powinien się oglądnąć za osobą, któraby podzieliła z nim stół i łoże i dopomogła, by nie potrzebował narażać się na opłacanie zupełnie niepotrzebnego podatku.

A pan Władysław był i praktycznym i oszczędnym, a obie te cnoty wyniósł z rodzicielskiego domu.

Był on synem zubożałego obywatela ziemskiego i, dzięki Bogu, jedynym jego spadkobiercą, gdyż po śmierci rodzica niewiele zostało do podziału...

Z czasem wyrobił się na tęgiego adwokata, specyaliste w sprawach rozwodowych, koledzy jego i znajomi twierdzili zawsze, że dzięki swej urodzie i eleganckiej postawie wygląda sam jak personifikacya powodu do zerwania więzów małżeńskich.

Dużoby o tem można mówić, dyskrecya każe nam jednak zamknąć usta.

* * *

W tym tygodniu ukończył się właśnie czas żałoby, trzeba było postarać się o jakieś jaśniejsze okrycie swej cielesnej powłoki i z tego to powodu stał pan Władysław przed otwartą szafą i czynił przegląd poszczególnych części swej garderoby.

Przegląd ten wypadł bardzo ujemnie, trzeba na gwałt postarać się bodaj o kilka garniturów zwłaszcza, że wiosna za pasem, a nasi panowie krawcy nie lubią się z zasady spieszyć.

Zamknął więc drzwi szafy, ubrał się i opuścił mieszkanie, kierując swe kroki ku najbliższemu składowi sukien.

Ledwie wszedł do wnętrza, opadło go pięć osób, jeden mężczyzna i cztery kobiety. Z ust wszystkich wyszły jedne i te same słowa, które utworzyły bardzo melodyjny chór:

— Czem mogę służyć panu dobrodziejowi?

Z przyzwyczajenia, zwrócił się pan Władysław do najmłodszej i najprzystojniejszej z panienek sklepowych i rzekł:

— Chciałbym oglądnąć jasne materye na ubranie wiosenne!

— Proszę bardzo! Niech pan dobrodziej raczy zająć miejsce!... — odpowiedziała zagadnięta i weszła za kasę, a równocześnie znikła, jak kamfora, reszta personalu sklepowego.

Rozpoczęło się oglądanie, pan Władysław nie mógł się jednak zdecydować, koniecznie żądał jaśniejszego koloru.

— W takim razie muszę przynieść ze składu — odezwała się sprzedająca. — Czy pan dobrodziej zechce poczekać?

— Proszę!

Panienka wyszła, pan Władysław pozostał sam w sklepie i zaczął się z nudów rozglądać na wszystkie strony... Cisza panowała grobowa, nic jej nie przerywało, nawet brzęczenie muchy, gdyż one, jak wiadomo w marcu śpią jeszcze.

Wtem przed drzwiami sklepu zatrzymał się automobil, z którego wysiadła bardzo elegancka niewiasta.

— Nareszcie będzie jakaś odmiana! — pomyślał nasz bohater i z wrodzoną sobie galanteryą powitał wchodzącą uprzejmym ukłonem.

A ona podeszła nieco i zmierzyła go od stóp do głów badającym wzrokiem. Jakoś jej się nie podobało, że młody człowiek, niewątpliwie pomocnik handlowy, nie podaje jej krzesła i wogóle zachowuje się, jak na kupca, zbyt swobodnie wobec klientki.

Zgadł!

— Dałem konduktorowi kilka cygar, by nas zostawił samych w przedziale, tymczasem już na następnej stacyi wpuścił kilka osób.

— Musiał chyba w międzyczasie zapalić jedno z nich!

Ojciec i syn.

— Nie, mój synu! Tak dalej być nie może! Z tą kasyerką musisz stanowczo zerwać! Już ja ją biorę na siebie!

Pan Pomeranz mówi przez telefon.

Tu Pomeranz! Proszę panny
Mnie *powiązać!... na numero!...*
Czicho!... Panna nic nie gadaj!...
Numer cztery, jeden, zero!...

Hallo!... Czi tam pan Marcypan?
Tu Pomeranz!... Kłaniam pana,
Giten tug!.. Pan sze domiślasz,
Co ja powim zaraz zrana?

U mnie dzisiaj będzie rybka,
Po żydowsku, niech Bóg broni,
To ja będę potrzebować
Pana też zaprosić do niej!...

Pan nie może przyjść, dla czego?
Przyjdź pan!... jestem dość bogate!...
Co? pan dostał dzisiaj syna?...
Ny? a kto jest jego tate?

Co sze pan tak bardzo rzuci?
Nie! ja nie mam wcale bzika,
Tylkom miszlał, co pan wie już,
O tym młodym porucznika.

Chat-Noir.

Z teatru prowincyonalnego.

Dyrektor (do żony): Jaka szkoda, że dałaś do prania kołnierz królowej Elżbiety!... Byłbym na jutro zapowiedział „Maryę Stuart"...

Za kulisami.

Statystka: Tylko wypraszam sobie podobne poufałości! Nasz dyrektor jest bardzo moralny człowiek i pozwala na coś podobnego tylko tym, którzy regularnie chodzą do teatru...

W szkole.

(Rzecz dzieje się w pensyonacie).

Nauczycielka (dyktując): Anglosasi przeprawili się do Brytanii wraz z całym swym dobytkiem, zabierając ze sobą także żony i dzieci... (po chwili, rozglądając się po klasie)... Panno Kaziu, ma pani już „dzieci"?...

W sypialni.

Mąż: Czegóż tam szukasz, moja droga?
Żona: Świeczki!
Mąż: Daj spokój! Lepiej, daj buzi i chodźmy spać!

Ma racyę.

Żona: Powiadam ci jednak, mój mężu, że na rozwód się absolutnie nie zgodzę, jeśli mi nie kupisz nowego kapelusza!

A to się wybrał.

— Co pan sądzisz o muzyce modernistycznej?
— Co pan mówi?
— Pytam się, co pan sądzisz o muzyce modernistycznej?
— Nic, proszę pana! Od dziesięciu lat jestem głuchy!

Po latach.

— Czy pan mnie poznaje?
— Nie, mój panie!
— Otóż to ja, który przed pięciu laty uciekłem z pańską żoną!
— Ty, dobrodzieju?... Przebaczam ci z serca, ale pod warunkiem, że zatrzymasz ją sobie!

Także historyk.

Jojne (widząc przy nazwisku Kolumb rok odkrycia Ameryki 1492, pyta ojca): Tate, co znaczy ten numer?
Pan radca cesarski (z powagą): To jest numer od jego telefonu.

Sen — mara!

— Wyobraź pan sobie, onegdaj powiada do mnie żona: Mój drogi, idźże już do Wentzla, ale pamiętaj wziąć klucz od bramy ze sobą. Wypij tam kilka albo kilkanaście bombek, no i nie spiesz się z powrotem!
— I cóż pan na to?
— Ano nic! Gniewałem się, gdym się obudził, gdyż to mi się tylko śniło!



Zimna krew.

Ona (w negliżu): Mój panie! To jest bezczelność wchodzić do mego buduaru, zwłaszcza, że powiedziano mu, iż niema mnie w domu!
On (ze spokojem): Właśnie dlatego! Sądziłem, że skoro pani niema w domu, to nie będę jej wcale przeszkadzał!

O święta naiwności!

— Jak się nazywa to miejsce, moja Zosiu, gdzie zawsze można spotkać żołnierzy?
— Nasza kuchnia!... — odpowiada sześcioletnia uczenica.

Trafna charakterystyka.

Przypadkowo wpadł nam w ręce numer codziennego pisma... *(nomina sunt odiosa)...* z przed lat kilku, w którym czytamy, co następuje:

„Wczoraj we własnem mieszkaniu przy ulicy X., targnął się na swe życie były komisarz tutejszego c. k. namiestnictwa. Przed kilku laty przeniesiony został w stały stan spoczynku i od tego czasu kilkakrotnie podejmował starania o reaktywowanie! Z tego widać, iż nie był on normalnym pod względem umysłowym".

Z ust jej wyrwało się nawet półgłosem wypowiedziane słowo: — No!...

Pan Władysław domyślił się, że jest ono skierowane pod jego adresem, zwrócił się więc do przybyłej ze słowami:

— Pani pozwoli...

— Czy mogłabym dostać sztuczkę szarego szewiotu z prążkami?...

Teraz dopiero otworzyły się mecenasowi oczy, iż dama uważa go za subjekta sklepowego. Zirytowała go sama myśl o tem, pohamował się jednak i wycedził powoli:

— Pani wybaczy!...

— Naturalnie, niema! — przerwała dama — W takim razie prosiłabym bez prążków!

Tego było mu już za dużo.

— Zechce łaskawa pani poczekać chwilę! — wycedził powoli przez zęby.

— Nie! Proszę mnie natychmiast obsłużyć! — odpowiedziała kupująca z wzrastającą coraz bardziej furyą.

— Niestety, nie mogę!

— Nie mogę?... Nie pojmuję, co to ma znaczyć!... Co pan sobie myśli właściwie?

— Jeśli mam prawdę powiedzieć, to nic!

— Panie! Jak się pan wobec mnie zachowuje? Ja się udam z zażaleniem do pańskiego szefa!...

— Jestem pewny, że on pęknie ze śmiechu!

— Panie! Jesteś pan bezczelny!

— Nie może być?... Nie wiedziałem o tem!

— Proszę mi zawołać w tej chwili szefa!...

— Szefa?... A skąd ja go pani wezmę?

— Skąd?... To ja panu pokażę! Ja wiem gdzie go znaleźć!

— To pani wie więcej, niż ja!

— Idę!...

— Już?...

— Ale pan mnie popamięta!...

To rzekłszy, trzasnęła drzwiami, a po chwili samochód uwiózł ją w dal nieznaną.

Teraz na pana Władysława przyszła refleksya.

Podrapał się za ucho i rzekł do siebie:

— Popamiętać, popamiętam ją bardzo chętnie i poznam, ale z innej strony!

Tymczasem powróciła panna sklepowa z żądaną materyą, przepraszała bardzo, iż tak długo bawiła w składzie, nie mogła jednak znaleźć, choć jej pomagał jeden z pomocników.

Zdziwiła się też ogromnie, gdy gość odparł wesoło:

— Nic nie szkodzi! Ja się tu wcale nie nudziłem!

* * *

Pani Wanda nerwowym krokiem przechadzała się po swym wspaniale urządzonym salonie.

Spojrzała na zegar, nacisnęła nerwowo guzik dzwonka elektrycznego, a gdy weszła pokojówka, zapytała:

— Czy nie przyszedł jeszcze pan mecenas?

— Nie, proszę pani! — brzmiała odpowiedź.

— W takim razie, jeśli przyjdzie, wprowadź go tutaj!

I rozpoczęła znowu spacer po pokoju, powtarzając od czasu do czasu: — Ach, ci prawnicy!...

Tak... prawnicy dali się jej już we znaki.

Przez dwa lata była ona zamężną za znanym adwokatem, po którego przedwczesnej śmierci musiała się z rodziną procesować o spadek, nic też dziwnego, że z prawnikami miała wiele do czynienia i że oni nieraz jej pewnie dokuczyli.

Teraz była wdową i to wdową przystojną, a co najważniejsze, bogatą!

Do salonu weszła pokojówka.

— Proszę pani, przyszedł jakiś pan i chce z panią mówić!

— Czy pan mecenas Paragrafowicz?

— Nie wiem, nie powiedział nazwiska.

— W takim razie, proś!...

Spojrzała do lustra, poprawiła nieco fryzurę, a tymczasem do salonu wszedł we własnej swej osobie... pan Władysław.

Skłonił się głęboko, a gdy podniósł wzrok i spojrzał na stojącą przed nim damę, twarz nagle oblała się purpurą...

Zupełnie w tem samem położeniu znalazła się i pani Wanda, jednak ona nie z zakłopotania, lecz z irytacyi, gdyż przypomniała sobie scenę w sklepie ze suknem i tego bezczelnego pomocnika.

— Aha! — rzekła po chwili — Przychodzisz pan, by się usprawiedliwić?

Pan Władysław nie odpowiedział, głos jednak wewnętrzny mówił mu: Władziu! A toś się wpakował! Wczorajsza szopka mści się dziś na tobie!

Jej cennik.

Dopust Boży — jak wiadomo,
Jest zła żona, płocha matka,
Lub kochanka, która zdradza —
Lecz najgorsza — literatka!...

Taka baba nieumyta,
Źle ubrana, nieczesana,
Redaktorów nieszczęśliwych
Oblatuje już od rana.

Ma nowelki i powieści
I społeczne artykuły,
I rozwija w twoich oczach
Całe stosy tej bibuły.

Mało tego, że rozwija,
Jeszcze czyta... Jest w tem biegła!...
Pan redaktor klnie w swej duszy:
„A żebyś ty bestyo zległa!"

Tak i panna Firlefancka,
Brzydka, ale zato sucha,
Wylicza mi po kolei
Ceny płodów swego ducha.

Ot! za „*Podróż wkoło świata*",
Cztery koron — (Dzieło duże!),
A „*Wiernością aż do grobu*"
To za dziesięć koron służę.

Chcę, żebyś mnie pan drukował,
Bo mam talent utajony!...
Więc dam panu „*Chwile szału*",
Zgoda? co?... — za dwie korony!...

Chat-Noir.

Autentyczne.

(Podsłuchana rozmowa).

— Jak Boga kocham, panie dobrodżeju, ja jezdem z panem prezydentem *per du!*

— Nie, to być nie może! Nie uwierzę!...

— Jak ja panu mówię, to pan może wierzyć! Ja kiedyś potrzebowałem zaczepić pana prezydenta na ulicy zapytaniem, czy nie ma przypadkiem na sprzedaż jaką starą marynarkę, a on powiedział do mnie: Paszoł won, *ty* parszywy żydzie!

Z reduty.

On: Ach! Jaki ja jestem szczęśliwy obok ciebie! Czuję się, niczem król!

Ona: Sądzę jednak, że w takim razie dla swej królowej masz chyba więcej, niż *koronę!*

— A czy mógłbyś pan wyżywić towarzyszkę życia?

— Żałuję bardzo, tu jest tylko zimny bufet!

Na ślizgawce.

(Rzecz dzieje się przy kasie).

Kasyer: Wstęp kosztuje dwadzieścia halerzy!

Andrus Felek: Kiedy jo, dobrodzieju, mom ino jedne łyżwe!

Bezczelny.

Stara kokietka: Wie pan, panie Stanisławie, gdym miała sześć lat, wygrałam na los, jaki otrzymałam od rodziców chrzestnych, dziesięć tysięcy koron! Złożyłam naturalnie na procent!

Kawaler: O! W takim razie musi pani być już co najmniej milionerką!

Mądry Jaś.

— Wujciu! A jak wygląda nos rzymski?

— Tak, jak mój!

— Aha!... Więc czerwony!...

Warunek.

— Czy mąż pani jest zazdrosny?

— Tylko wówczas, gdy musi sam płacić me rachunki.

Muzykalny.

Ojciec (z dumą): Szelma, zdolny chłopak ten mój Staszek! Będzie z niego kiedyś profesor konserwatoryum... Kiedyś, gdy coś zbroił koło fortepianu, wywróciłem go na kolano i wymierzyłem kilkanaście klapsów... I co pan powie, ten szelma równocześnie akompaniował doskonale na fortepianie!

Na ulicy zdarzył się wypadek. Automobil przejechał jakiegoś jegomościa, dzięki Bogu nie wyrządził mu jednak większej krzywdy.

Na miejscu zjawił się stróż bezpieczeństwa i zapytał poszkodowanego:

— A czy pan nie zauważył numeru wozu?

— Nie, łaskawy panie — brzmiała odpowiedź — pamiętam jednak, że trąbka sygnałowa była nastrojoną na *D-moll.*

Przeświadczona.

— O! Ja panią przejrzałem na wylot, panno Stefciu!

— W takim razie musiał pan widzieć same piękne rzeczy!

Między gospodyniami.

— Teraz, kochana pani oficyałowa, coraz trudniej o służącą!

— Co też pani mówi! Ja od Nowego Roku miałam ich już siedm!

W sądzie.

— Więc pan uciekłeś z Krakowa, pozostawiając przeszło sto tysięcy koron długów!

— Co też pan sędzia mówi! To nieprawda! Ja wziąłem je ze sobą i teraz mam je jeszcze!

Ocena.

— Jakże wypadła wczorajsza premiera?

— Bardzo słabo! Dość powiedzieć, że po każdym akcie musiano rozdawać świeże gratisowe bilety wstępu!...

Jedyna rada.

Pan profesor Kicz jest wściekły,
Bo przeważnie jego ucznie
Wzięli rozbrat z prawdą, życiem,
I malują nazbyt sztucznie!...

Ot, ten akt!... Czyż to kobieta?
To są skutki studyów mylnych!
Czy pan nie znasz nóg kobiety,
Nie widziałeś partyi tylnych.

Tak do ucznia się odzywa
I zgorszony głową kręci,
Młody malarz się tłómaczy,
Że malował to — z pamięci.

Pan profesor sapie, mruczy,
Potem bierze go na stronę
I do ręki coś mu wtyka,
— Tu masz — mówi mu — koronę.

— Co to znaczy? — bąka malarz,
A profesor rzekł rozsądnie:
— Dziś wieczorem — za koronę
Niech pan wszystko to ogłądnie!

Chat-Noir.

Po chwili jednak rzekł:

— Właściwie nie, łaskawa pani! Właściwie...

— W takim razie proszę się wynosić! Cała sprawa zaczyna mię już nudzić!...

— Mam się wynosić?... Dobrze!... Ale w takim razie będzie pani łaskawą w tych dniach pofatygować się do mnie!

— Ja?... Pofatygować?... Czy pan zmysły postradał?!

— Niech pani pozwoli, ja jej wszystko zaraz wytłumaczę! Przedewszystkiem się przedstawię. Jestem Władysław Grodzki, adwokat, kawaler, religii rzymsko-kat., liczący lat trzydzieści sześć, dwa razy szczepiony, z tego raz ze skutkiem, dotychczas nie karany! A może żąda pani więcej szczegółów, odnoszących się do mej osoby?

— Nie!... Dziękuję!

— To szkoda! Wiem, że pani wzięła mnie wczoraj za pomocnika handlowego. Wprawdzie nie jest to dla mnie wcale pochlebnem, ale dlaczego i subjekt nie miałby być tak eleganckim, jak ja?

— O... widzę, że pan nie jest zbyt skromnym, panie mecenasie!

— Tego nigdy nie twierdziłem! Ale, przystąpmy do rzeczy... Pani jest wdową, Wandą Wróblewską, liczącą lat dwadzieścia siedm, choć, prawdę powiedziawszy, wygląda pani najwyżej na dwadzieścia dwa, również religii rzymsko-katolickiej i nieograniczoną właścicielką majątku w kwocie trzysta tysięcy koron w gotówce i dwupiętrowej kamienicy z oficyną w Krakowie... Wyrok tej treści otrzymała dziś nasza kancelarya i pozwolę sobie zauważyć, że wygraliśmy sprawę w ostatniej instancyi. Raczy pani przyjąć me najserdeczniejsze życzenia!

— Dziękuję panu! Dlaczego jednak zawiadamia mnie pan o tem, skoro mym doradcą prawnym jest mecenas Paragrafowicz?

— Od niedawnego czasu jestem jego wspólnikiem. Prosił mnie...

— On pana prosił?... A gdybym była przegrała proces, czy byłby się pan także sam fatygował?

— Naturalnie!...

— Ejże?!...

— Daruje pani, lecz muszę zwrócić jej uwagę, iż pani jest niesprawiedliwą w ocenianiu ludzi... Że pani wzięła mnie za subjekta, to mniejsza, ale posądzać mnie o tak nizkie instynkty... to boli...

To rzekłszy, skłonił się głęboko i skierował ku drzwiom.

Teraz pani Wanda zabrała głos.

— Nie, mój panie! — zawołała żywo. — Nie pójdzie pan tak prędko! Teraz ja mam interes do pana. Ponieważ jestem nieograniczoną panią tak wielkiego majątku, a jako kobieta jestem nieporadną, potrzebowałabym pełnomocnika, któryby zajął się memi sprawami. Musi to być człowiek uczciwy, na którym możnaby polegać... Czy nie zna pan kogoś odpowiedniego? A może sam pan podjąłby się tego, panie Władysławie?

— Ja?... Przecież pani miała już dwukrotnie sposobność przekonania się o tem, że ja się do prowadzenia interesów nie nadaję!

— Więc pan odmawia?

— Odmawia, nie odmawia... Ostatecznie zgodziłbym się, ale pod warunkiem, że przyjmie mnie pani na służbę bez wypowiedzenia, to jest na całe życie...

— O!... Widzę, że z pana przecież jest dobry kupiec!

— Z czasem potrafi się człowiek wszystkiego nauczyć! Więc?...

— Zgoda panie mecenasie! Zastrzegam sobie jednak czas próby!

— I owszem! Ciekawy jestem, dlaczego okres narzeczeństwa nie mielibyśmy uważać za czas próby!...

I stanie się, że Numa wyjdzie za Pompiliusza, na razie bowiem, z powodu wielkiego postu, rozpoczęli obydwoje wymówiony czas próby...





Spiesz się powoli, a z pewnoszczą się spóźnisz do począdgu.

⊙ ⊙

Czasym jest śmierć słodka jak cukier... Naprzykład, jak umira ciężki wróg, lub teszczowa!

⊙ ⊙

Miendzy giemby a renkami jest ta różnica, że giemba służy do bicia, a renki służą do gadania.

⊙ ⊙

Reduta prawy, to jest całkiem odwrotność od Europy wschodniej. Tam jest Saloniki w Macedonii, tu buła z przeproszeniem macedonia w saloniki.

⊙ ⊙

Małżeństwo, to jest wydawnictwo gazety. Mąż jest odpowiedzialny redaktor, żona wydawca, przyjaciele domu zaś współpracowniki.

⊙ ⊙

Prosta droga jest zawsze najlepszą — powiada przysłowie, ale ja wim, że i krzywa jest często bardzo przyjemna.

⊙ ⊙

Powiedz mi, którą kubitę kochasz, a ja ciebi powim, ile cię to kosztuje.

⊙ ⊙

Czasem, ale dość rzadko, zdarza się, że dżecko jest podobne do ojca.

⊙ ⊙

Jeśli twoja żona potrzebuje pisać listu do swojego kochanka, to bądź kontent. Gorzej byłoby, gdyby sama poszła do niego.

⊙ ⊙

Narzeczeństwo, to karnawał, małżeństwo wielgi post. Trwają akurat tak długo, jak oba te okresy w bieżącym roku.

⊙ ⊙

Jeśli zechcesz polować w uniesieniu płochem,
To nabij strzelbę śrutem, nie bobem lub grochem.

⊙ ⊙

Lepsza podróż jest klasą pierwszą, niźli czwartą,
Lecz najtaniej wypada jechać za freikartą.

⊙ ⊙

Niektóra kubita jest całkiem podobna do jajecznicy. Jajecznica jest żółta, a i ona jest także żółta.

⊙ ⊙

Jak si w pannie zakocha taki, co ma pech, to się z nią z pewnoszczą ożeni.

⊙ ⊙

„Praca osładza nam życie"... tak powiedżał do siebie ten, kto rozbił kasę u Rodakoskiego na Podgórzu. Jak się jednak ten filozof nazywa, tego nie wim ani ja, ani c. k. policya.

⊙⊙⊙
⊙

ANIOŁEK.

Raz, w przedziale, w drugiej klasie,
Zobaczyłem cud — dziewczynę;
Cud — zjawisko, co to zda się.
Zamieszkiwać snów krainę!
Smukła kibić, warkocz złoty,
Przecudowne oczy duże,
Pełne wdzięku i prostoty —
A buziaki!! Istne róże!
A usteczka! — Mocny Boże —
Co za cudne! Jakie świeże!
Co za uśmiech! — Niczem zorze
W dnie wiośniane! — mówię szczerze. —
A gdy na mnie moment krótki
Zatrzymała swe oczęta —
Te przecudne „niezabudki" —
Zawołałem w duszy: „Święta!"
„Istny anioł w ludzkiem ciele!"
Cudną zjawą poruszony,
Byłbym — (brakło już niewiele!)
Jak przed świętą bił pokłony.
A „zjawisko" — gdy ujrzało
Niemy zachwyt moich oczu,
Od niechcenia, rączką małą
Jęło wiązać coś w warkoczu; —
I spojrzeniem wodzić wkoło
Po wagonu ścianie białej,
Lecz za chwilę, wzniosła czoło
I zwróciła wzrok nieśmiały
Po raz drugi w moją stronę.
„Anioł!" — znowu myślę sobie.
Skromnie słonkiem ozłocone
Jakby glorią — ręce obie,
Przecudowne małe ręce —
Splotła lekko od niechcenia
I oparła na sukience!...
. . . .
Za chwileczkę znów spojrzenia
Nasze zbiegły się niechcący.
Lecz spostrzegłem w tejże chwili
Na usteczkach śmiech drgający. —
Czułem, jak się dziewczę sili,
By nie wybuchł pełen siły
Śmiech, srebrzystych tonów gamą.
Więc — choć widok był tak miły —
Chciałem ją zostawić samą.
Gdy wtem, dziewczę z buzią cudną
Przez okienko spojrzeć chciało,
Lecz, że je otworzyć trudno —
Więc zwróciła się nieśmiało
W moją stronę z prośbą słodką
Abym pomógł jej „łaskawie"
Spuścić okno. O! Pieszczotko!
„Wniebowzięty" byłem prawie!...
„Poderwany" — jak sprężyną,
Melodyjnym słów jej dźwiękiem
Wnet stanąłem przed dziewczyną
I otwarłem okno z brzękiem. —
Ponowiwszy zaś ukłony,
Pytam dziewczę uśmiechnięte:
„Pani! Przeciąg jest szalony,
Czy drzwi... mogą być zamknięte?"
. . . .
Spuszcza oczy zapytana —
Jak przystało na „niebiankę" —
„Owszem — rzecze — proszę pana...
Spuść pan jednak i... firankę!"
. . . .
Minął okres życia długi; —
Nieraz się w „sam — na — sam" miłem
Było w klasie pierwszej, drugiej,
Lecz... w „anioły" nie wierzyłem!



Zazdrosna.

— Wiesz, odkąd leczy cię doktór Stefan, wyglądasz coraz lepiej. I ja będę się musiała zwrócić do niego i prosić o poradę!

— Proszę cię jednak, wstrzymuj się z tem, dopóki nie ukończy mej kuracyi!...

W prowincyonalnym cyrku.

Dyrektor: Moi państwo! Teraz moja żona wystąpi jako atletka. Bije się według najnowszej szkoły grecko-szwedzkiej... Wyzywa do walki każdego z obecnych tu panów i zobowiązuje się pokonać go w przeciągu dziesięciu minut... Tylko, jeden warunek, moi panowie... łaskotać nie wolno!

Aha!

— Więc żenisz się z panną Zosią? Ona ma troje dzieci!

— Cóż dziwnego, była przecież trzy razy zaręczoną!

Nasi najserdeczniejsi.

— Jojne! Ja słyszałem, że ty się żenisz bardzo bogato?

— Nu... jest na tem trochę prawdy, ale powiem ci w sekrecie, że ja jestem już winien więcej, jak pół mojej narzeczonej!

— Cóż to... stary Josel usunął już zupełnie od interesu?

— Nie! On jeszcze przysięga czasem fałszywie, jeśli potrzeba!

Z tajemnych zwierzeń.

— Brakuje mi tylko sposobności, a byłabym go już dawno oszukiwała! — w te słowa odzywa się pani mecenasowa do swej serdecznej przyjaciółki.



Prawdziwe zdarzenia.

Pewna dama, należąca do czeskiej arystokracyi, zgłosiła się u słynnego ginekologa z prośbą o poradę, w jaki sposób mogłaby doczekać się liczniejszego potomstwa.

— A ile dzieci ma dotąd pani hrabina? — pyta lekarz.

— Jedenaścioro! Wszystkie są zdrowe i silne!

— I to pani nie wystarcza?

— Nie! Bo moja siostra, która jest tylko baronową, ma ich już czternaścioro!...

Urzędnicy kolei państwowych studyują bardzo pilnie urzędowy szematyzm, w którym pomieszczone są ich nazwiska według starszeństwa. W miarę, gdy który umrze lub z jakiegoś innego powodu ustąpi, wykreśla się go z westchnieniem ulgi:

— No, dzięki Bogu o jednego mniej!

I onegdaj, gdy spotkało się dwu, zaczęli rozmawiać o awansie i przeglądać szematyzm. Starszy z nich, którego nazwisko było wcześniej pomieszczone, zauważył obok siebie zrobiony ołówkiem krzyżyk.

Zwraca się więc do kolegi z zapytaniem:

— Ciekawym, co to ma znaczyć?

A on mu na to:

— Wiesz, to jeszcze z tych czasów, gdyś chorował na tyfus!

Pani Klara spotyka się na targu ze swą przyjaciółką panią Barbarą i rozpoczynają rozmowę o domu i dzieciach.

Jakże tam malutki? — pyta pani Klara.

— Dziękuję bardzo kochanej pani za pamięć. Chowa się doskonale — odpowiada Barbara. — Zdaje się będzie z niego kiedyś znakomity krytyk, gdyż już dziś drze każdą książkę, którą tylko dostanie w ręce!



— Czy lubisz dzieci, mój mężu?

— O!... wcale nie!

— W takim razie uprzedzam cię, że już w niedługim czasie będziesz musiał zmienić upodobanie!



— Ten wstrętny człowiek prześladuje mnie już od godziny!... Gdyby tak teraz jednak zaczepił mnie, ach, jaka byłabym szczęśliwa!



— Więc przyjdziesz jutro?

— Ależ! Twój mąż jest przecież w domu!..

— Nie rób sobie nic z tego! Wyślę go do ministerstwa, by się starał o order dla ciebie!



— Przyjdę na bal... Tańczyć będę z wszystkimi, ale zaręczę się najwyżej z kilkoma!



— Więc nie będziesz zazdrosnym?

— Nie, moja droga! Znam kobiety i wiem, że one są jak śruby. Siedzą silnie dopiero wtedy, gdy zardzewiałe!



— Powiadam ci, moja Zosiu, że daleko przyjemniej jest zaręczyć się dwadzieścia razy, niż raz wyjść za mąż.



— Anim przypuszczał, by pani tak prędko zdecydowała się ofiarować mi swą miłość!

— O panie!... O ofiarowaniu niema mowy!



— Przekonasz się jednak, że odnajdę twego wielbiciela i ukarzę go dotkliwie!

— O! Przy twej nieporadności jestem pewną, że trafisz na najmniej winnego!...



Ferdek Eleuteryk.

Wielgo żałość ogarnena cały naród Izraela od Wisły po Rudawe, a nawet i dalij, gdy sie dowiedzioł, że krakoskie leuteryki, chcom ugodzić w samo serce narodu, bo w prepinacyjom! Dziń ten, w którym rada mijsko miała się być oświadczajonca, czy szynków mamy już dosyć w Krakowie, czy tyż trza nadawać nowe koncesyje, przeńdzie do historyi i bedzie po wieki wieków świadestwem, że Kraków bez tronkowości obeńść się nimoże!

Działo się to w dniu 17 lutygo wieczorem w pałacu Wielopolsk'ch. Zebrały się radce wszelkigo autoramentu, katoliki i gudłaje, łysi i z włosami, starzy i młodzi, tłuści i chudzi i zaczeni radzić.

Naprzód godano o rewersach demolacyjnych, ale to mnie nie jest obłażonce, bo jo nimom nijakiej chałupy, wienc nie potrzebuję nic burzyć, potym zaczento się zastanawiać nad opiekowaniem się nad bezdomnymi andrusami.

To już rzecz ważnijszo, ale szkoda było strzempić se jadaczke, bo kto winien tymu, że andrusy nimajom dachu nad głowom?... Majestrot!... A loczygo?... Lotygo, bo zniós olejandry i byzie, postaroł się, że dyabli wzieni wapiennik Szenbergów, gdzie się miało kwatyry zimowe. Som wprawdzie nowe olejandry w Dombiu (co się pono niedawno spoliły), zimowe miszkanie można z bidom znaliźć w cegielniach na Ludwinowie, ale to wszyćko za daleko, chyba, że rada mijsko uchwali w jednom i drugom strone tramwaj szyrokotorowy i do androm kartki wolnyj jazdy.

Dziwie się, że panowie radce miejskie rzeczywiście mało troszczom się o los tych bidoków, zwłaszcza, że zwionzani są z nimi nieroz wenzłami krwi.

Som słyszołem kiedyś, jak pod Hawełkom zaczepiuł taki pendrok jednygo poważnygo radcego i tak do nigo pedo:

— Tata! Kupże tata gazyte!

Radziec sie oglondnon, czy go kto nie słyszy, doł chłopokowi korunke, nie wzion nawet gazyty i choć tłusty, tak ci wydziroł, jakby mu ze trzydzieści roków ubyło. Ino mu sie kantyna trzensła! A furt godoł do siebie:

— Skond ta cholera wi o tym?... Słowo daje, że podobny do mnie!...

Kuniec kuńcem, uchwalono założyć lo andrusów mijski hotel, ale nie taki, jak pod Teligrofem, gdzie dzienne utrzymanie jednygo skieła bedzie kosztować korune i siedmdziesiąt holerów, o ile jest obywatelem miastа Krakowa, dla jenszych zaś dwie koruny.

Za te piniondze bedom tam miały chłopoki miszkanie, nauke, wyżyrunek i opierunek, jak sie patrzy, a kierownictwo obejmie znany z energicznyj energiji pon prefesur Obijtylski.

Nad obiema temi sprawami godano dużo, ale sie bardzo spieszono, bo na tapet władziła ważno sprawa: nadanie koncesyji szynkarskich, co sie powinno właściwie nazywać poletycznie *wykupnem weksli wyborczych*.

Dotond było moratoryjum, teraz upominajom sie wyborcy o nagrode za swom prawomyślność.

Przychodzi do pana przyzydenta taki jegomość, co mu obiecano szynk i pyto:

— Nu?...

A pon pryzydent mu na to:

— Nu!.. Nu!...

I odszed ów obywatel pocieszony, bo wiedzioł, że dotrzymane bedom obietnice i bedzie mioł, czego pragnie.

Ale, kużda, choćby najważnijszo rzecz musi mieć swoich przeciwników. Takim był w pirszyj lenii ksiondz doktur Caputa, a potym Ignac... ten Ignac w swyj własnyj osobie, który se chyba zapomnioł, że jak człek nie łyknie w porzondku kalafonii, to nie bedzie klawo śpiwoł: „a kolor jigo jest czyrwony!...“

Dobrze przynajmnij, że w obronie prepinacyi stanon, jak drugi Rejtan, radca Miedniok i choć nie rozdar na sobie marynary, bo mu jij szkoda, ale zawołoł:

— Chyba po moim trupie! Bracia nie dejmy się!

A koledzy skoczyli ku niemu i zawołali po rycyrsku:

— Hojch! Wywajt!...

I zwycinżyła świnta sprawa, teroz bedzie sie nadawać tyle koncesyji na wyszynk wszelkij tronkowości, aby w każdym domu była przynajmnij jedna kapliczka, poświncono Bakchusowi. Majestrot wydo tyż obezwe do wszyćkich miszkańców, aby pili jak najwincyj, bo z tygo miasto ma najwinkszy dochód.

Kto sie wykoże poświadczeniem z policyi, że był trzy razy kirny w jednym tygodniu, otrzymo piekny prezent, a nazwisko jigo zapisze sie w złotyj ksiendze obywateli zasłużonych lo dobra miasta.

Zachciało im sie tyż zamykać kirnie od soboty wieczór do poniedziałku rano! A hi... na tygo, kto podoł ten prejekt!... To ci ładnie bedziemy wyglondali, „blaumontag“ gotów zupełnie zniknonć z horyzontu.

I prosze mi pedzieć, kiedy człek ma właściwie sie skirzyć, skoro bez sześć dni musi cinżko pracować, a w niedziele Siapsia i inni zamykajom swe gościnne podwoje?

Całe ino szczyńście, że patryjotyczna rada nie uchwaliła tygo wniosku, ale odesłała go do kumisyi gospodnio-szynkarskij. Zanim przeńdzie tam przez mijskie alembiki, tymczasem bedzie inno rada, która se o tym zapomni, abo całkiem spokojnie skreci mu kark, gdyż jest on szkodliwym lo dobra miasta i jigo miszkańców!...



Nasze dzieci.

— Cieszysz się na „Mikołaja“?
Jutro on nam coś przyniesie! —
Zagadnęła Mania Jasia,
Jaś rzekł: Tak jest! rozumie się!

Lecz ci powiem w tajemnicy,
Poznaj, co jest prawda naga!
Otóż, z świętym Mikołajem
Moja Zosiu — to jest blaga!

Za nos wodzą nas rodzice,
A ja, głowę daję za to,
Że tym świętym Mikołajem
Jest nikt inny — tylko tato!

Potem dodał z ważną minką
O odkryciu niespodzianem:
„Nawet — zdaje mi się,
Że nasz tato jest bocianem!“

Chat-Noir.



Otwarta.

(Wieczorem na linii A-B)

— Panie! Jak pan będzie dalej szedł za mną, skompromituje się pan!...

Wziął go.

Pan X.: Jest wiele dróg, któremi można dojść do majątku, a tylko jedna uczciwa!

Bankier Y.: Ciekawym, jaka?

Pan X.: A widzi pan, że jej pan nie zna!

Mądre myśli zakatarzonego.

Jeśli chcesz zirytować kobietę, zapytaj ją, ile lat liczy.

Najodpowiedniejszym podarkiem, jaki żona może zrobić mężowi w dzień imienin, są pantofle, jako symbol władzy domowej.

Są na świecie ludzie, którzy kochają wiecznie, ale na raty.

Kobieta jest jak ognie sztuczne. Po ostatnim punkcie programu nie pozostaje nic, prócz dymu,

Mężczyzna zapala się prędzej, niż kobieta, ona jednak zazwyczaj pali się dłużej.

Prawda jest nagą, dlatego trudno ją odkryć.

Miłość lepszą jest dziś, niż jutro, dlatego, co masz zrobić jutro, rób dzisiaj.

Być wdową po milionerze, to cel westchnień wielu kobiet.

Przed udaniem się na bal, każda mama przypomina córze, by była rozsądną i w danej chwili zachowywała zimną krew... To chyba zbyteczne, gdyż od tego jest Anioł Stróż.

Miłość, to burza, wspomnienie o niej, tęcza.

Z pomiędzy pierścionków, najwięcej kosztują nas zawsze obrączki ślubne.

Celem marzeń kobiecych jest czepiec małżeński. Gdy go zdobędą, wtedy dopiero żądają co miesiąc nowego kapelusza.

Najszczęśliwszemi są małżeństwa po rozwodzie.

Niejedna kobieta zdobywa najpierw żołądek swego wybranego, potem dopiero jego serca. Taka „żołądkowa“ miłość jest często powodem, że mąż nie może potem strawić swej żonki.

Kobiety pamiętają lepiej dawne rzeczy, niż obecne. O pierwszym kochanku wspominają do śmierci, o ostatnim zapominają często już po tygodniu.

Kobieta, to zegar, który w młodości zawsze się spieszy, na starość spaźnia.

Wierność małżeńska jest częstokroć tylko aktem zemsty żony wobec przyjaciela domu.

Kobiety są perłami stworzenia, dlatego to zawsze chciałyby być oprawnemi w złoto.

Jeśli kobieta ustępuje, to dowód najlepszy, że postawiła na swojem.

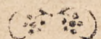
Platoniczną miłość wymyślono z pewnością w środę popielcową.

Gdy małżonek ściska za rękę przyjaciela domu, chce mu w ten sposób powiedzieć: żeby cię dyabli wzięli!

Amor już od dawna nie jest ślepym. Musi widzieć monetę.

Płać swe weksle, albo nie, ale w obu wypadkach bądź punktualnym.

Kobiecie miłość nigdy się nie sprzykrzy, co najwyżej kochankowie.



„Pypcio“.

(Humoreska).

Krok zamaszysty, wojskowy; suknia ciemno-fioletowa, kapelusz duży o dwu różach kremowego koloru z przodu i o dwu spadających na plecy zielonych piórach z tyłu; w ręku torebka, zdaje się barwą dostosowana do całości stroju; twarz okrągła, pulchna, purpurowa — tak wyglądała pani Paulina, żona respicyenta z Kołomyi.

Gdy zdumiony zastanawiałem się nad tem, co mogło tak zdecydowaną domatorkę sprowadzić do stolicy, pani Paulina już mnie poznała z odległości kilkunastu kroków i, zanim się zoryentowałem, już była przy mnie, krzycząc na całe gardło, aż konie dorożkarskie strzydz zaczęły niespokojnie uszami.

— Pan Michał — jak Boga kocham — pan Michał!

Przechodnie dziwnie jakoś patrzyli na jowialną, zamaszystą niewiastę, ubraną „á la Murat“ — ja stałem zdrętwiały.

— Ta, jak Boga kocham pan Michał — huknęła po raz drugi.

Ja zaś, przekonany, że mimo wszelkiej wątpliwości muszę być panem Michałem, zacząłem coś mruczeć, nie pamiętam co, gdyż stałem, jak na rozżarzonych węglach.

— A to, jak Boga kocham, cudownie się składa — trzepała dalej pani Paulina — pan, panie profesorze, będzie mi mógł pomódz!

— Proszę, owszem — odrzekłem spiesznie, starając się odciągnąć obywatelkę Wschodu do jakiejś zacisznej, mniej uczęszczanej uliczki — proszę, a o cóż chodzi?

— A no z tym Pypciem mam taki kłopot, że Bóg jeden widzi!

— Cóż takiego? Komuż to się przytrafiło — pytam, zapomniawszy o tem, że przecież pypeć jest specyficznie ptasią chorobą.

— Aj! Bo pan profesor nie wie, taże ja nie mówię o tym pypciu, że ptaki dusi, tylko o moim... no... tym... a chodzino tu!

Z za fioletowych fałdów sukni ukazała się głupkowata głowa ucznia kl. III-ej.

Oczy bezmyślne, duże, wyłupione na czoło, usta otwarte, jak u ryby, wyjętej z wody.

— Taże to on, ten co go pan profesor do chrztu trzymał — nie pamięta pan?

— Ah! Tak! Przypominam sobie — odparłem — ale zdawało mi się, że pani chłopczyk miał na imię Zygmunt?

Parsknęła śmiechem na to.

— Toż to, to samo — zawołała — to samo drańcie, tylko, że jak było maleńkie, tak my go nazwali przez pieszczotę niby...

— Aha! — mruknąłem...

— Chciałam pana prosić o pomoc. Nie chcą dziecka nigdzie przyjąć do szkoły. Byłam już w czterech gimnazyach i u radcy i u ks. kanonika, co to u nas był wikarym... i nadarmo. Jeździłam i do Tłumacza i do Stanisławowa, ale napróżno.

— Czy państwo się przenieśli z Kołomyi?

— Ta dzie! To długa historya! Tam się na niego zawzięli panowie, niech im Bóg nie pamięta! Co dziecko „wyrwane“ — zaraz dwója — i to, jak Boga kocham, bez powodu. Dziecko ma feler, ma złą wymowę, a u tych panów żadnej cierpliwości! Pypciu! Za coś to ostatni raz dostał dwóję?... Powiedz panu profesorowi, nie bój się!

To, co się Pypciem zwało, wylazło z za fioletowych matki i, trzymając się lewą ręką fałdów sukni, zrobiwszy okropny grymas, zaczęło stękać:

— Z...z...za z...z...zitz...b...baaad.

— Za co?

— No, proszę sobie wyobrazić, za... sitzbad. Profesor pytał go o Karlsbad i jakiś gałgan podpowiedział dziecku mylnie... no i dwójka na świadectwie.

— A z innych ma dobre noty?

— Ale dzietam! Jak zobaczyli jedną, to tak, trza, czy nie trza, „sypali“ od religii aż do końca! A, jak Boga kocham, to krzywda!

— Jakże z obyczajami? spytałem.

— Ta też złe! A za co? Śmiech mówić! Pypciu! Powiedz, za co masz obyczaje naganne?

— Z...z...aaaa... ka... ka... kaka...szta...ta...ny.

— Cóż to znów???

— A no co? Nazrywały se chłopaki kasztanów i on kilka wziął, taj jednym „niechcąco“ uderzył swego profesora w głowę, a że kasztan miał kolce, no to się trochę o włosy zaczepił. Taż to nie zbrodnia chyba?... Byłabym przeprosiła, wynagrodziła! Czyż to się godzi pędzić dziecko zaraz z gimnazyi?...

W trakcie jeremiady matczynej „dziecko“, znudzone widocznie, w najtragiczniejszym momencie zajęczało:

— P...p...pieeees!

I pędem podbiegłszy do jakiegoś wychudzonego psa-włóczęgi, wymierzyło mu potężne kopnięcie w wystające wymownie żebra.

Pies zawył, a fioletowa jejmość wrzasła.

— Pypciu! Co ty robisz!? — i... szalonym wybuchnęła śmiechem. — No, widzi pan, jakie to durne drańcie! Jemu tylko „figle“ w głowie! Ale żeby zaraz takie dziecko pędzić z gimnazyi, trzeba nie mieć sumienia!

Pożegnałem panią Paulinę coprędzej, niewyraźnie obiecałem — aby się odczepić — interwencyę i wierzcie mi, unikałem troskliwie drugiego z tą panią spotkania i przyjemności oglądania jej cudownego Pypcia!...



Coby pisały krakowskie dzienniki, gdyby Parys porwał Helenę w naszych czasach?

1. „Nowa Reforma“.

W Sparcie zaszedł fakt znamienny,
Treścią, jak i formą swoją,
Fakt, co może spowodować
Groźny konflikt z miastem Troją.

Książę Parys, który zwiedzał
Incognito greckie kraje,
Zniknął z żoną Menelausa,
(Za jej zgodą, jak się zdaje).

Król Menelaus wysłał Troi
Ultimatum w owym względzie,
Sprawozdawcą „N. Reformy“
W razie wojny — Homer będzie.

2. „Głos Narodu“.

Parys porwał więc Helenę!
I uwiózł ją do Afryki,
Ot! do czego to prowadzi
Chrześcijańskiej brak etyki!

A był młody ten rozpustnik,
Menelaja gościem wszakże!
Książę-biskup oburzony,
I my także! no, a jakże!

Wojna wisi już na włosku..
Chcąc usunąć jej zamęty,
Podjął się najmiłościwiej
Interwencyi Ojciec święty.

Złe przykłady idą z góry —
Europo! zapłoń wstydem!...
Zawsze oni!... Wszak podobno
Książę Parys ma być żydem!...

Od Rotszyldów się wywodzi,
Spokrewniony jest z Bazesem,
A przez tego ostatniego
I z Gajerem handełesem.

Lecz tem gorzej dla Heleny,
Bo któż hańbę tą wysłowi?
Że mu dała — zwieść się, temu
Parszywemu żydziakowi!

„Związek stróżów katolickich“
Robi wiec, chcąc zmyć tą plamę,
Prezes Gołąb referuje:
„Ile żądać trza za bramę?!“

3. „Illustrowany Kurjer Codzienny“.

(Do naszej ryciny tytułowej).

Miłość — to wszechwładna pani
Trafia w pałac, czy do chaty!
Dla niej to jest wszystko jedno,
Czy kto biedny, czy bogaty!

A przykładem — dwór spartański,
Co miał cnoty silny zarys...
Ot! małżonce Menelausa,
Spodobał się książę Parys.

Miłość — to kapłanka wielka,
Co rozgrzesza i rozbraja,
Samochodem więc uciekli
Od starego Menelaja.

Ona — piękna jak marzenie,
On lew, co nie drży przed strachem,
Pojechali samochodem
Z powiernikiem Offenbachem.

Wzruszającą ową scenę,
Tej ucieczki i pogoni,
Przedstawił nam niezrównany
Nasz rysownik — Sęk Antoni...

4. „Naprzód“.

(Skandal w domu królewskim).

Książę Parys, ten rozpustnik,
Przez swój lud znienawidzony,
Znudził się afrykankami
I wziął się do cudzej żony.

Porwał Helcię, jakby swoją!...
(*„Naprzód“* grosza by zaś nie dał,
Że Menelaus, ten król-alfons,
Parysowi żonę sprzedał!)

Kto jest Parys? Szkoda czasu,
By zajmować się tym gachem!
Lecz Helena miała pono
Gruby romans z Offenbachem!

Większych brudów nie wymyślił
Conan-Doyle w swej fantazyi,
Wstrętnem jest to stanowisko
Naszej zgniłej burżuazyi'...

Taki Homer, drań skończony!
W to, co pisze — sam nie wierzy,
Łajdak! twierdzi, że pod Troją
Walczą sami bohaterzy!

To znamienne!... A więc matko!
Wpajaj codzień swemu dziecku,
By — za żadną cenę nigdy,
Nie uczyło się po grecku!!

Popierajmy zatem „Naprzód!“
Naszym sprawom poświęcony!
Co kosztuje z odnoszeniem,
(Lub z przesyłką) — dwie korony!!...

Chat-Noir.

Z listów Hermogenesa Klapy.

Drogi Bocianie!

Jak Ci zapewne wiadomo, według zasad fizyki rozszerzają się w cieple wszystkie ciała (patrz: „Podręcznik fizyki na klasy niższe szkół średnich", jeśli nie wierzysz), nic też dziwnego, że i Wielki Kraków, czując zbliżającą się wiosnę, a z nią i cieplejszą porę, poczuł także chęć rozszerzenia się i zaczął coraz energiczniej przytulać do siebie Podgórze.

Wspominam o tem dlatego, ponieważ sprawa ta stoi w ścisłym stosunku z moją karyerą dyplomatyczną, z którą mam co dwa tygodnie zaszczyt zapoznawać P. T. Czytelników.

Właściwie powinienem był wyjechać w tym czasie z Krakowa, gdyż cesarz Wilhelm raczył mnie osobiście zaprosić na swój odczyt o cielętach zebu, jaki wygłosił z okazyi setnej rocznicy uwolnienia Prus Wschodnich z pod nieproszonej opieki francuskiej, zostałem przecież w Krakowie, gdyż zaintrygowała mnie wiadomość, że „Kuryerek illustrowany" zakupili ludowcy, a do spółki w „Nowej Reformie" przystąpił adwokat dr. Gross, który ma ochotę zwolna spłacić pana dra Doboszyńskiego i objąć na własność organ krakowskich niezdecydowanych demokratów.

A dobrze się stało, że zamiaru tego w czyn nie wprowadziłem, gdyż obecnie weszliśmy w stadyum pism odręcznych, a do doręczenia takiego dokumentu nie nadaje się byle kto, ale musi to być osoba poważna, mądra, przezorna, politycznie należycie wyszkolona, a pochlebiam sobie, że właśnie wszystkie te zalety posiadam i to w najlepszym gatunku, a do tego krajowego wyrobu.

Wyłaziłem właśnie z łóżka i szukałem pod niem... proszę się nie rumienić... nie mam na myśli nic porcelanowego, ale najniewinniejsze pantofle, gdy Kasia, pełniąca przy mej osobie obowiązki służącej do wszystkiego, woźnego, portyera i sekretarza, wtoczyła się do sypialni i obwieściła swym miłym głosikiem, przypominającym skrobanie nożem po dnie rondla:

– Przyszed woźny z magistratu i pedo, że musi się widzieć w ważnyj sprawie z samym panem Hermogenesem Klapom!

– Prośże zaraz do salonu – zawołałem. – Jakże można urzędową osobę trzymać za drzwiami! Ja zaraz tam przyjdę!

I nie czekając, oblokłem swe ciało w szlafrok turecki, który ongiś otrzymałem w prezencie na urodziny od byłego sułtana Abdul Hamida i podążyłem do salonu, w którym się naturalnie nie pali, ale nie ze względów oszczędności, ale jedynie z tego powodu, by mole nie pogryzły mebli.

Tu czekał na mnie sam pan woźny przydalny z pałacu Wielopolskich i, aby sobie skrócić czas oczekiwania, dzwonił z zimna zębami...

– Czem mogę służyć kochanemu panu? – zapytałem uprzejmie, wskazując dostojnikowi autonomicznemu miejsce na kanapie, co mu się zresztą należało z wieku i urzędu...

– Jaśnie wielmożny pan prezydent prosi jaśnie wielmożnego pana doktora Klapę, aby przybył do niego, ale zaraz! – odpowiedział.

– Wybaczy łaskawy pan – zacząłem się tłumaczyć – ale w tym stroju nie mogę, gdyż zamiast do magistratu, dostałbym się do Czubków!...

– Pewnie! Pewnie! – przyznał mi racyę, oglądając mnie ciekawie od stóp do głowy. – Ale niech się pan spieszy, bo my czekamy!...

Pożegnaliśmy się, ja przebrałem się prędko i pospieszyłem, dokąd mnie wzywano.

Pan prezydent czekał już na mnie, a tymczasem spoglądał oknem na ulicę Franciszkańską i Plac Wszystkich Świętych, dziwiąc się, czego chcą od niego polityczni przeciwnicy, tutaj przecież błota nie uświadczy ani na lekarstwo...

– A!... Pan Klapa... jakże mi miło! – zawołał na mój widok. – Proszę się rozgościć! Kochany panie, mam do pana delikatny interesik, wiem zaś, że wywiążesz się z niego, jak się patrzy. Czytałem o pańskich stosunkach z kolegami mymi na tronie, cesarzem Wilhelmem.

– Właśnie mam tam jechać!...

– Proszę nie przerywać! odbieram panu głos!... Jak więc powiedziałem, znam pańską dotychczasową działalność polityczną i widzę, że nikt inny nie potrafi mi pomódz skuteczniej w wiekopomnej sprawie połączenia Podgórza z Krakowem... Jagiełło połączył Polskę z Litwą, my zlejemy w jedną całość Kraków i Podgórze! Panie, nazwiska nasze przejdą do historyi... wyrzną nas na marmurze!

– Dziękuję bardzo! To mi się wcale nie uśmiecha!...

– Uśmiecha, nie uśmiecha, tak ma być, jak ja sobie życzę... i basta! Otóż, ponieważ dziś pisma odręczne są w modzie, postanowiłem wysłać taki list do pana Maryewskiego w Podgórzu, a tym, który go powiezie, będziesz pan! Trzeba przy tej sposobności mieć otwarte oczy i uszy...

– Naturalnie i pulares... U Piekły jest doskonałe piwo!

– Koszta zwróci się panu z funduszu dyspozycyjnego po sprzedaniu gruntów pofortecznych!

– Oj!... Nie wiem, czy doczekam!

– Otóż, kochany panie Klapa, tu jest list, niechże pan jedzie zdrowo, a wraca cało i zaraz potem zgłosi się u mnie...

– Podług rozkazu! Czego to człowiek nie zrobiłby dla swej ojczyzny! – odpowiedziałem, schowałem list za pazuchę, by mi go kto nie wykradł i, ponieważ mi się nie spieszyło, wązkotorowym tramwajem pojechałem na Podgórze.

Tu spotkało mnie pierwsze rozczarowanie.

Pan poborca akcyzowy, nudząc się, zaczął ze mną rozmowę.

– Hm! A dokąd to Bozia prowadzi?

– Z listem od pana prezydenta do pana Marjewskiego. Ale sza! – to mówiąc nachyliłem się do jego ucha – sprawa wielkiej wagi i pierwszorzędnego politycznego znaczenia!

Poprawił okulary, kichnął i rzekł:

– U!... Nie może być!...

– Jak Boga kocham!... Chodzi o przyłączenie Krakowa do Podgórza, lub odwrotnie, jeśli łaskawy pan woli...

– A ciężkie warunki?

– Bardzo ciężkie!...

Usłyszawszy to, zrobił pan poborca minę bardzo urzędową i zakonkludował:

– Ha! W takim razie bardzo żałuję, ale mamy rozkaz, by ciężkich rzeczy przez ten most nie przepuszczać, lecz kierować je na trzeci, lub dębnicki...

– Ależ... pan prezydent...

– Nic mnie to nie obchodzi!... Befel, jest befel i kwita!...

Cóż było robić, jako systematyczny człowiek wróciłem tramwajem pod magistrat, stąd zaś szeroko-torowym na trzeci most i niebawem znalazłem się w Podgórzu.

Ale o tem dopiero w następnym liście.

Ściskam Was!

Klapa.



Wiarygodne świadectwo.

Panna Lola (do swego przyjaciela): Spytaj pan, kogo chcesz, ja mym przyjaciołom dochowałam zawsze wierności!

Monolog pani Belli.

(Podsłuchany).

— Powiadają mężczyźni, że my kobiety nie umimy dochować tajemnicy?... Proszę kogo, co za zuchwałe pomawianie... ot, weźmy mnie na przykład... Jestem już piąty rok mężatką, a przecież dotąd nie powiedziałam jeszcze mężowi, że byłam przedtem już trzy razy zaręczona i miałam dwoje dzieci...

Mosiek swatem.

Szlachcic ma sześć córek w domu,
Dość na ojca głowę biedną!
A więc chciałby — cóż się dziwić!? —
Wypchać za mąż chociaż jedną.

Mówi tedy do pachciarza:
— „Mosiek! wynajdź konkurenta!
Ale to ci mówię z góry,
Że posagu ani centa!"

— Konkurenta? sygit! będzie,
(Żyd zna wszystko, rzecz wiadoma)
Proponuje tedy papie
Z okolicy — ekonoma.

— Hm! — rzekł szlachcic, łżąc jak z książki,
Ja, bo każdą pracę cenię,
Ale — widzisz — moja żona
Patrzy znów — na urodzenie.

Żyd się rozśmiał: — Jaśni pani
Z przeproszeniem głupstwa plecie!...
Urodzenie?... Będzie potem!...
I do tegi czas jest przecie!...

Chat-Noir

Westchnienie.

— Jak byłabym szczęśliwą, gdybym znalazła mężczyznę, któryby mnie zrozumiał i dał się przekonać, że kobieta, prócz miłości, potrzebuje także pieniędzy... Ale w tych ciężkich czasach trudno znaleźć takiego!...

Scena małżeńska.

Żona zastaje męża w kuchni na bardzo czułem sam na sam z sympatyczną kuchareczką.

Wpada naturalnie w furyą.

— Tak?! Więc to w ten sposób czas spędzasz, gdy mnie w domu niema?

— A cóż mam robić, mój kotku! — odpowiada winowajca. — Wszakże sama powiedziałaś onegdaj, że mężczyzna powinien pilnować ogniska domowego!

Ostrożna.

— Dlaczegóż, moja Maniu, nie weźmiesz na wycieczkę swej białej bluzki... Tak ci w niej do twarzy... Spodobasz się jeszcze bardziej swemu narzeczonemu!

— Kiedy na niej znać każde dotknięcie palca!...

Właściciele i wydawcy: Spadkobiercy St. Lipińskiego. Odpowiedzialny redaktor: Włodzimierz Zenowicz. Drukarnia D. E. Friedleina w Krakowie, pod zarządem Pawła Madejskiego.



— Wiem! Oszukujesz mnie! Masz kochanka!...
— Jednego?!... Dzięki Bogu, on jeszcze nie wie o wszystkiem!...